



KATRINA KWAN

Ostatni  
smok  
wschodu



# O OSTATNIM SMOKU WSCHODU

„Powieść epicka w swoim rozmachu, o ostrej narracji i głębokiej tematyce. *Ostatni smok wschodu* to ekscytująca przygoda i poruszająca historia miłosna w jednym”.

– Thea Guanzon, „New York Times” i „USA Today”,  
autorka bestsellerowej powieści *Wojny Huraganowe*



„W tym porywającym romansie w klimacie fantasy jest wszystko: niebezpieczne podróże, postacie, którym chce się dopingować, i miłość trwająca przez wieki. Do tego mnóstwo nawiązań do mitologii i soczystej prozy, a przekomarzanki między niepoprawnym optymistą Saiem a gburowatą, skrytą Jyn to mistrzostwo.

Kolejne zwroty akcji nie pozwalały mi się oderwać aż do samego, niebywale satysfakcjonującego i krzepiącego, zakończenia”.

– Keshe Chow, autorka *Lustrzanego życia Ying Yue*



„*Ostatni smok wschodu* to porywająca opowieść o przeznaczeniu i oddaniu. Podążając za budzącymi sympatię postaciami i doświadczając wraz z nimi romantycznych uniesień, zadajemy sobie pytanie, jak daleko posunęlibyśmy się dla osób, które kochamy”.

– Kylie Lee Baker, autorka światowego  
bestsellera *Szkarlatna alchemiczna*



„Katrina Kwan wplata chińskie mity o smokach i niciach przeznaczenia w cudownie chwytający za serce romans w klimacie fantasy. Uwielbiam wątek wesoło-zrzedliwej relacji Saia i Jyn (to jedna z moich ulubionych par wszech czasów!) oraz ich nieustanne przyciąganie i odpychanie. Jest soczyście, epicko, obłądnie!”

– A.Y. Chao, autorka *Shanghai Immortal*



„Bogata w wątki z chińskiej mitologii powieść *Ostatni smok wschodu* opowiada ściskającą za serce historię miłości silniejszej niż śmierć”.

– Xiran Jay Zhao, „New York Times”,  
osoba autorska bestsellerowej powieści *Żelazna Wdowa*

KATRINA KWAN

Ostatni  
SMOK  
Wschodu

PRZEŁOŻYŁA  
EDYTA STĘPKOWSKA



TYTUŁ ORYGINAŁU:  
*The Last Dragon of the East*

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik  
Wydawczyni: Maria Mazurowska  
Redakcja: Anna Poinc-Chrabąszcz  
Korekta: Dagmara Deska  
Projekt, ilustracje na okładce i wyklejce: Agata Łuksza  
DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2024 by Katrina Kwan

Copyright © 2025 for the Polish edition by Papierowe Serca an imprint  
of Wydawnictwo Kobiectwo Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Edyta Stępkowska, 2025

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie  
i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź  
fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody  
posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I  
Białystok 2025  
ISBN 978-83-8371-796-8

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | [www.WydawnictwoKobiectwo.pl](http://www.WydawnictwoKobiectwo.pl)



# 1

**G**ēge! Proszę, powiedz mi, co widzisz!  
Młoda kobieta o wielkich ciemnych oczach patrzy na mnie wyczekująco, gdy starannie przeliczam brązowe monety, którymi zapłaciła. Kwota się zgadza, ale nie zaszkodzi się upewnić. Już raz wykiwano mnie na równowartość tego, co wydajemy na jedzenie w tydzień, i ta lekcja na zawsze nauczyła mnie skrupulatności.

Gdy mam już pewność, że wszystko jest jak należy, przywiązuję po wewnętrznej stronie długiego płaszcza sakiewkę z monetami.

– No dobrze, *mèimei* – próbuję dodać jej otuchy uśmiechem – podnieść prawą dłoń, o tak.

Bez wahania wykonuje moje polecenia, oddychając głęboko i z przejęciem. Ma dłonie robotnicy: zrogowaciałe i o grubych knykciach. Prawdopodobnie większość czasu spędza, harując na okolicznych polach ryżowych. Zarówno dłonie, jak i paznokcie są za to czyste, wyszorowane do różowości, jakby zdzieraała naskórek, próbując się pozbyć brudu.

Wygląda skromnie. Jej szarobura sukienka została uszyta z taniej, szorstkiej tkaniny. Długie czarne włosy ma splecione w prosty

warkocz opadający wzdłuż kręgosłupa i związany krótką czarną wstążką. Unosi się z nich ledwie wyczuwalny kwiatowy zapach, ale niezbyt ostry. Widać, że włożyła sporo wysiłku, aby pomimo swojej sytuacji wyglądać jak najlepiej – i pewnie wykosztowała się przy tym ponad swoje możliwości. Ale nie dziwię się jej.

Ja też, idąc na spotkanie z osobą mi przeznaczoną, chciałbym się dobrze zaprezentować.

Jej czerwoną nić widzę równie wyraźnie jak niebo nad naszymi głowami. Połyskująca magia okrąży jej mały palec i oddala się w stronę centrum miasta. Jest dość napięta, nie ma żadnego luzu, co wskazuje, że osoba na jej drugim końcu musi być blisko.

– Jesteś gotowa? – upewniam się.

Potwierdza krótkim skinieniem, jej podekscytowanie jest niemal namacalne.

Chwytam ją tuż poniżej nadgarstka i wyruszamy w naszą radosną podróż.

Jej nić przecina targ w porcie. Wąskie uliczki Jiaoshanu są jak zapchane rynny, wypełnione tłumem klientów i sprzedawców. Sklepikarze zachwalają przechodniom swoje towary, a robotnicy raczą się zasłużonym posiłkiem złożonym z mocno przyprawionego mięsa, gotowanych na parze bułek i zup z pierożkami.

Jest chłodno, dachy pokrywa pierwszy tego roku szron. Pomimo zimna życie toczy się jak zawsze. Ludzie krzątają się wokół straganów z barwnikami świeżo przywiezionymi z zachodnich królestw, egzotycznymi zamorskimi przyprawami, piękną, wysadzaną klejnotami biżuterią i rzadkimi jedwabiami ze szlaków handlowych na północy.

Z Południa nie ma nic. Handel z naszymi tamtejszymi braćmi zamarł, odkąd cesarz wypowiedział im wojnę.

Miasto Jiaoshan – tak mi przynajmniej mówiono – składało się kiedyś z zaledwie kilku pokrytych strzechą chat postawionych

wokół dużego jeziora. Im więcej ludzi chciało uczynić to miejsce swoim domem, tym więcej wody ubywało. Mijały dekady i z każdym rokiem, w miarę, jak rosła populacja, jezioro kurczyło się o kilkanaście centymetrów. Ludzie stawiali domy jak najbliżej wody, aż jezioro całkiem wyschło, a na jego błotnistym dnie powstało rozrastające się miasto.

I dobrze. Nienawidzę pływać.

Zgiełk i chaos ogromnego targowiska wypełniają mi uszy, ale bezbłędnie wyłapuję w kakofonii szeptu i ciekawskie spojrzenia. Nawet skąpo odziane kurtyzany wychylają się przez okna domu uciech, żeby wygłosić swoją opinię.

– To chyba on? – zastanawia się jedna z kobiet, przyglądając mi się z ledwie skrywaną dezaprobatą. – Podążający za nicimi?

– Który, ten?

– Wygląda raczej na włóczęgę.

– Ale co on tu jeszcze robi? Nie powinien być tam, gdzie reszta poborowych?

– Pewnie jakoś się wyłgał.

– Raczej stchórzył.

– A może to oszust, który próbuje okantować tę biedną dziewczynę?

– Nie, nie. To on, jestem pewna. Sai nie dalej jak dwa księżycy temu pomógł mojej kuzynce znaleźć męża!

Ignoruję ich komentarze i skupiam się na zadaniu, które mam przed sobą – dosłownie.

A to niełatwe, bo choć widzę nic mojej klientki, to widzę również nici należące do wszystkich innych osób. Rozedrgane czerwone linie biegną w lewo, prawo i przez środek. Krzyżują się i płaczą, przeplatają tuż obok i w oddali. Niektóre leżą na ziemi, owinięte wokół domów i zaczeplone o drzewa. Inne są napięte niczym sznury na pranie albo pęknięte jak zużyte wodze

ciągnącego wóz muła. Nici przeznaczenia są w ciągłym ruchu, jak gniazdo splątanych żmij przemieszczają się w dzień i noc w ślad za duszami znajdującymi się na ich końcach.

Zwykle potrafię je ignorować. Stanowią wszechobecną, splątaną sieć magii, którą przez lata nauczyłem się omijać wzrokiem. Stała się dla mnie niczym wielki, pozbawiony twarzy tłum. Nici są niematerialne, bez trudu można przez nie przechodzić, nie ma więc obawy, że się o którąś potknę. Trzymanie osoby za rękę poniżej nadgarstka pomaga mi się skupić. Trochę jakbym trzymał w dłoni kompas prowadzący mnie we właściwym kierunku.

Niść dziewczyny zaczyna wibrować, z cienkiej wiązki bije obezwładniające ciepło. Dziewczyna głośno przetyka ślinę i oblewa się potem w ten mroźny zimowy ranek.

Nadal prowadzę ją targowymi uliczkami, teren zaczyna się wznosić, wspinamy się na podgórze prowadzące do Dzielnicy Perłowej. Stare drewniane chaty stojące wzdłuż ulic targowiska powoli ustępują miejsca domom większym i okazalszym, o wysokich kremowych ścianach, spiczastych dachach i urzekających ogrodach wodnych, które zaczęły zamarać wraz ze zmianą pory roku.

Jeszcze więcej spojrzeń kieruje się w naszą stronę, ale teraz mniej jest w nich zaciekawienia, a więcej wyraźnej niechęci z powodu naszej obecności w tym miejscu. Arystokratki poszeptują między sobą za wykonanymi na zamówienie jedwabnymi wachlarzami i marszczą umalowane twarze, kiedy je mijamy.

– *Gēge*, jesteś pewien, że to tutaj? – pyta moja klientka, kiedy podchodzimy do rezydencji za masywną księżycową bramą, której czerwone drewniane drzwi są zamknięte na sto spustów. Na obwodzie bramy wykuto budzący trwogę połączony wizerunek smoka. Jego wyszczerzone zęby i ostre pazury mają odstraszać nieszczęście i duchy o nieczystych intencjach.

Dla pewności raz jeszcze zerkam na dłoń dziewczyny. Jej czerwona nić wibruje od napięcia z powodu bliskości ich dwojga. Teraz dodatkowo zaczyna świecić jasnym, głęboko karmazynowym odcieniem i migotać niczym odległa gwiazda.

Potwierdzam skinieniem.

– To tutaj, *mèimei*. Przeznaczona ci osoba znajduje się tuż za tymi murami.

Dziewczyna cofa się o krok, potrząsając głową w bezgranicznym przerażeniu.

– Przecież to dom radcy! To jakaś pomyłka.

– Czerwona nić przeznaczenia nigdy się nie myli – przypominam jej. – Jesteś przeznaczona komuś, kto jest teraz po drugiej stronie bramy.

– Ale spójrz na mnie. To nie mój świat. – Jej dolna warga drży, a cienkie brwi łączą się i marszczą z rozpacz. Nerwowo szarpie końcówkę warkocza, strzępiąc między palcami wstążkę. – Wyśmiej mnie, gdy tylko mnie zobaczą. Od razu będą wiedzieli, że nie wniosę żadnego wiana. Źle zrobiłam. Nie należało tu przychodzić. Ten pomysł od początku był szalony.

Kładę dłonie na jej ramionach i przytrzymuję jej wzrok. Mówię głosem spokojnym i zdecydowanym:

– Wiem, że się boisz, ale uwierz mi, że osoba ci przeznaczona pokocha cię całym sercem. Nie mają znaczenia ani twój wygląd, ani majątek. Prawdziwa miłość nigdy cię nie zawiedzie, musisz tylko znaleźć w sobie odwagę, żeby wyjść jej na spotkanie.

Delikatnie popycham ją w stronę bramy i sam się wycofuję, żeby wraz z tłumem gapiów obserwować, jak to się rozwinie.

Dziewczyna niepewnym krokiem podchodzi do żelaznej kołatki i uderza nią w drzwi dwa razy. Cisza, która potem nastaje, jest gęsta i ciężka. Nawet wiatr milknie, żeby nie zaburzyć drżącego w powietrzu napięcia.

W końcu drzwi otwierają się przy akompaniamencie skrzypiących zawiasów. Staje w nich mężczyzna w purpurowych szatach i z ciężkim złotym łańcuchem z pieczęcią rady miasta. Mruga pośpiesznie na widok młodej dziewczyny, a początkowe zaskoczenie na jego twarzy niemal natychmiast przechodzi w zaniepokojenie. Spojrzenie ma ciepłe, a w kącikach ust majaczy życzliwy uśmiech.

Łącząca ich nić zaczyna brzęczeć. Rozbłyskuje światłem dziwnie słońca, ich więź jest czysta i prawdziwa. Jej oślepiająca manifestacja pozostaje niewidoczna dla wszystkich pozostałych, ale nie szkodzi. Wystarczy spojrzeć, jak tych dwoje patrzy na siebie wzrokiem rozmarzonym i pełnym zachwytu, aby zrozumieć, co tu się odbywa.

To cud, którego piękno nie ma sobie równych ani na tym, ani na żadnym innym świecie. Szczęście jest zaraźliwe, ale staram się ze wszystkich sił nie patrzeć w dół na nić owiniętą wokół mojego palca. Zawsze, gdy to robię, przygnębia mnie to, co widzę, a nie chcę sobie teraz psuć nastroju.

Wycofuję się i znikam w tłumie. Nie mam tu nic więcej do zrobienia.

Choć jestem wykończony porannymi swatami, wciąż czeka mnie sporo pracy w herbaciarni.

Przed si *shí*, godziną węża, wszystkie stoliki są już przetarte, a poduszki do klęczenia porządnie wytrzepane przed nadejściem pierwszych tego dnia spragnionych klientów.

Do południa, godziny konia, naprawiam zepsute okiennice od strony ulicy, żeby wpuścić do środka więcej światła, w nadziei, że przytulna atmosfera zachęci przechodniów do odwiedzenia naszego skromnego rodzinnego przybytku. Na razie nikt się nie pojawił, ale nie tracę nadziei.

Nastaje *shēn shí*, godzina małpy. Słońce wisi nisko na niebie. Mój optymizm słabnie, lecz przecież wkrótce zacznie się wieczorny ruch. Miejscowi rolnicy i rybacy będą tędy przechodzić po dniu targowym. Na pewno zdołam przekonać kilku, żeby wstąpili na imbryk pysznej herbaty i słodkie ciasteczka migdałowe.

Resztę popołudnia poświęcam na przeglądanie ksiąg rachunkowych, ubolewając w duchu nad słabymi obrotami. To, co dostałem od dzisiejszej klientki, powinno pokryć straty, ale na jedzenie nie zostanie zbyt wiele. Jeśli sam będę jadł trochę mniej, a pusty żołądek wypełnię wodą, to może choć A-Ma będzie mogła najeść się do syta. Ja jestem młody i silny. Mogę co jakiś czas odpuścić sobie któryś z posiłków.

Akurat kiedy kończę podliczanie wydatków, słyszę, że matka ma kolejny napad kaszlu. Schody skrzypią pod jej ciężarem, gdy pokonuje je po jednym stopniu, kurczowo trzymając się rozklekotanej poręczy. Cały dzień spała, tak jak zalecił lekarz.

– A-Mo, dlaczego wstałaś? – pytam i szybko podchodzę do niej, żeby z powrotem zaprowadzić ją do łóżka. – Powinnaś odpoczywać. Lekarz powiedział...

Przerywa mi machnięciem ręki i odpędza mnie łokciem.

– To żaden lekarz, a zwykły szarlatan. Mówię ci, Sai, to kownał! Co komu zaszkodzi od czasu do czasu rozruszać nogi?

Wzdycham ciężko i przetykam płonąca w mojej piersi frustrację.

– Dobrze, już dobrze. Chodź, położymy cię z powrotem. Doktor Qi powiedział, że musisz oszczędzać stawy.

Matka mruczy rozdrażniona, ale pozwala się odprowadzić do swojego pokoju.

Mieszkamy nad herbaciarnią w pomieszczeniu, które miało być magazynem, ale po tym, jak przed laty zmarł ojciec, a potem zachorowała matka, z pieniędzmi było coraz gorzej. Najgorsze

były pierwsze miesiące po pogrzebie. Często musiałem wybierać między zapłaceniem czynszu a zakupem leków dla matki. Właściciel domu, w którym wtedy mieszkaliśmy, nie okazywał wyrozumiałości, gdy decydowałem się na to drugie.

Na szczęście A-Ba zostawił nam herbaciarnię, chociaż w fatalnej sytuacji finansowej. Nie wiem, jak matka zniosłaby życie na ulicy, zwłaszcza teraz, gdy noce zrobiły się mroźne. Na górze jest ciasno, a z nieszczęlnych okien wieje wiatr, ale przynajmniej mamy dach nad głową.

Większość miejsca zajmuje posłanie matki, z wszystkimi kocami i poduszkami, jakie udało mi się zebrać od co hojniejszych sąsiadów. Żyjemy wśród szuflad, w których przechowujemy słoiki suszonych liści herbaty na długie zimowe miesiące, kiedy ruch handlowy zamiera. Drogi prowadzące do miasta bywają wówczas zdradzieckie, a kupcy niechętnie stawiają czoła surowej pogodzie. Jedną z pierwszych lekcji, jakich w dzieciństwie udzielił mi ojciec, była ta, aby zawsze dobrze się zaopatrzyć na mroźne czasy.

Czasem wolałbym, żeby A-Ba równie pieczołowicie jak swoje ukochane herbaty gromadził monety.

A-Ma kładzie się, ale robi przy tym obrażoną minę. Urodziła się w roku bawoła, co może tłumaczyć jej uparty charakter.

– Czuję się już lepiej – przekonuje i zaraz głośno kaszle, zasłaniając usta zgiętym łokciem. Kaszel jest suchy i rozdzierający, jak drapanie paznokciami po nierównym murze. – Jak poszło?

– Nieźle. Znaleźliśmy go w Dzielnicy Perłowej. To członek rady miejskiej.

– O proszę, poszczęściło się dziewczynie. Będę się modlić o szczęśliwe i dostatnie życie dla nich.

Zrzucam z ramion płaszcz i otulam nim wątle nogi matki, żeby było jej cieplej. Jest coraz chudsza, trzęsie się o każdej porze dnia i nocy.

– Mam wreszcie dość pieniędzy, żeby kupić to nowe lekarstwo od doktora Qi – oznajmiam. – Podobno jego koledzy z Królestwa Południa uważają je za najlepszy dostępny specyfik.

– Tak, tak – mruczy matka zgorzkniale. – Doktor Qi to, doktor Qi tamto. A ja ci mówię, że to pieniądze rzucone do studni. Powinieneś raczej odkładać na sfinansowanie swoich własnych poszukiwań.

Wzdycham z rezygnacją.

– Już o tym rozmawialiśmy. Nigdzie się stąd nie ruszam.

– W tym wieku powinieneś już mieć żonę! I gromadkę dzieci. – Matka chwyta mnie za ramię i ścisza najmocniej, jak potrafi. – Która by nie chciała za męża kogoś tak przystojnego i silnego jak ty?

To oczywiście, że matka wychwala swoje dziecko. Słyszając to, przewracam oczami i mimowolnie zerkam w małe lustro na stoliku w kącie. Coś w tym jest. Choć liczę sobie prawie dwadzieścia pięć wiosen, wyglądam na góra dwadzieścia. Zdaniem doktora Qi rozwijam się nienaturalnie wolno. A-Ma obstaje przy swojej teorii, że młody wygląd mam po naszych przodkach. Osobiście wolę myśleć, że jestem jednym z wybrańców, których bogowie pobłogosławili olśniewającą urodą i ujmującym charakterem.

Z wyglądu najbardziej jestem podobny do ojca. To po nim mam szerokie barki i silne ramiona, za to szczupłe nogi. Ciemnobrązowe włosy przeważnie wydają się niemal czarne, ale w pełnym słońcu nabierają rudawego odcienia. Przyznaję, że w pasie mam trochę za dużo ciała, czego trochę się wstydzę. Praktycznie całe dzieciństwo spędziłem w naszej herbaciarni, mając słodkości na wyciągnięcie ręki. A-Ba niczym zły duch podsuwał mi ukradkiem ciasteczko – albo pięć ciasteczek, gdy A-Ma obsługiwała gości. Potem nas łajała, gdy zdradzały nas okruszki w kącikach ust. Dziwne, że nie straciliśmy interesu na rzecz wierzycieli, przejadając w ten sposób nasze zyski.

Matka z dezaprobatą kręci głową.

– Synu, bogowie obdarzyli cię tak cudownym darem! Naprawdę nie jesteś ciekaw, kto jest ci przeznaczony?

Spoglądam na jej dłoń. Jej czerwona nić już nie istnieje. Zamiast niej wokół małego palca obraca się zamknięta czarna pętla. W dniu, gdy umarł ojciec, mogłem tylko w bezradnym przerażeniu patrzeć, jak nić łącząca moich rodziców, jednocząca dwie połówki w całość, rozpada się na moich oczach. Tylko śmierć mogła rozerwać ich więź.

Rozmyślanie o śmierci rodzica to nic przyjemnego. Ale są takie dni, gdy wydaje mi się okrutnym, że los nie zabrał ich razem. Kiedy A-Ba odszedł, a nić spadła z jego palca, nić wokół palca A-My poczerniała na znak jej żałoby. Często, chodząc po mieście, widuję takie czarne pętelki. Ich widok zawsze łamie mi serce.

Ojciec zmarł dziesięć lat temu i matka nigdy się z tego nie otrząsnęła. Jej światło przygasło. Nie śmieje się już tak jak dawniej, nie uśmiecha tak szeroko, jak pamiętam z dzieciństwa. Zastanawiam się, czy ta rozpacz nie ma wpływu na to, że podupadła na zdrowiu.

Tym bardziej powinien ją jak najszybciej obejrzyć doktor Qi.

– Do tego czasu znalazłbyś ją już ze trzy razy. – A ona dalej swoje. – Musisz znaleźć swoją drugą połówkę, zanim będzie za późno.

– Za późno? – powtarzam za nią. – Jestem jeszcze młody, mam czas.

– A co, jeśli do tego czasu ten ktoś postanowi się ustatkować i zwiąże z niewłaściwym człowiekiem? To tragedia na całe stulecie. Mówię ci, Sai. Weź te pieniądze, które dziś zarobiłeś, i opłać swoją wędrówkę. Wiesz, że jest tylko jedna taka osoba. Pójdź za własną nicią i odszukaj ją, zanim twoje kości będą zbyt zmęczone, żeby ruszyć w taką podróż.

Kręcę głową i parskam śmiechem.

– A co z tobą?

– Jak to: co ze mną?

– Kto się tobą zajmie pod moją nieobecność?

– Twoja ciotka Ying.

– Hm. Myślałem, że ciocia Ying cię nie znosi.

– To prawda, ale to nie zwalnia jej z obowiązku pomagania mi jako bratowej...

Tu A-Ma znów dostaje ataku kaszlu. Charczy i świszczy tak głośno, że mam wrażenie, jakby kaszel gruchotał jej kości. Szybko nalewam wody z dzbanka, który postawiłem tuż obok jej posłania, i podsuwam jej kubek do ust. Kiedy pije długo i powoli, pocieram jej plecy tak, jak ona to robiła, gdy byłem dzieckiem, i martwię się w duchu tym, jak bardzo stała się krucha. Wydaje się, że ledwie wczoraj tryskała energią i niepodzielnie władała herbaciarnią, a ja, trochę się podśmiewając, posłusznie wykonywałem jej rozkazy. Teraz to ja mówię jej, co ma robić: pij więcej wody, zostań w łóżku, zażyj leki...

– Odpocznij trochę. Ja pójdę na dół przygotować congee.

– Tylko dodaj mi odrobinę imbiru do sosu sojowego. Inaczej w ogóle nie czuję smaku.

Nakrywam matkę kolejnymi kocami i całuję grzbiet jej dłoni.

– Tak zrobię. Byłem nawet na targu i przyniosłem nam kilka jajek.

Mama zaciska wargi i prycha przez nos. W jej oczach stają łzy.

– Ach, synku, masz za dobre serce. Zawsze się troszczysz o innych. Kiedy pozwolisz, aby ktoś zatroszczył się o ciebie?

Zamiast odpowiedzieć, wruszam tylko ramionami.

Idę na dół, żeby posprzątać w naszej niewielkiej kuchni i z najwyższą pieczołowitością biorę się do przygotowania kolacji dla matki. Jedna miarka ryżu na dziesięć miarek wody. Do tego szczypta soli, odrobina pokrojonego w kostkę imbiru, drobno

posiekana zielona cebulka – przygotowuję kleik ryżowy dokładnie tak, jak robiła to A-Ma dla mnie, gdy w dzieciństwie chorowałem. Wszystko bym oddał, żeby móc na wierzchu położyć kawałek kurczaka, ale przez nowy dekret cesarza coraz trudniej u nas zdobyć mięso. W ramach przygotowań do wojny wprowadzono reglamentację żywności.

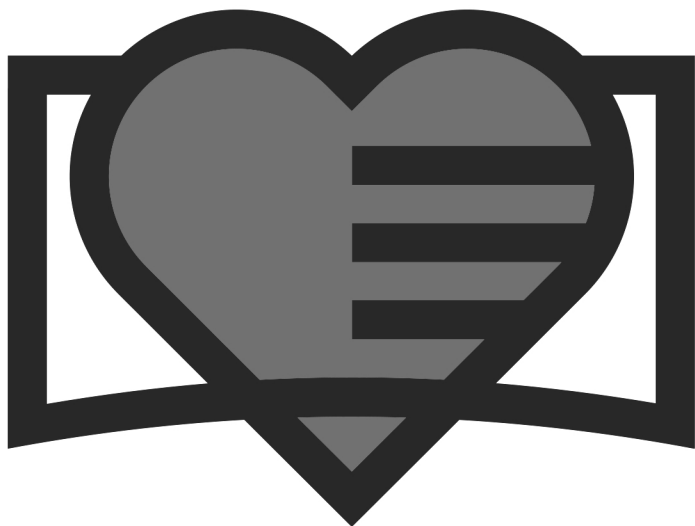
Kiedy nakładam mamie kleik do dużej miski – i sobie do mniejszej – mimowolnie zerkam na swoją dłoń. Prawda jest taka, że rzeczywiście jestem ciekaw. Mam jednak powody, aby nie wyruszać na spotkanie z przeznaczoną mi osobą. Wielokrotnie o tym myślałem, lecz wciąż nie potrafię się zdobyć na odwagę. Wiem, że to nieuczciwe z mojej strony, bo choroba A-My jest tylko wymówką, żeby nie ruszać się z domu.

Nici przeznaczenia są czerwone, nierozzerwalne i łączą ze sobą dwie połówki duszy. Zniszczyć je może tylko śmierć.

Moja nić jest jednak wyblakła, szara i strzępi się na moich oczach. Jest taka, odkąd pamiętam. Nie ma w niej ciepła ani purpurowego blasku, który obserwuję u innych. Tak naprawdę nigdy nie widziałem czegoś podobnego ani nie wiem, co to oznacza.





I szczerze mówiąc, brak mi odwagi, żeby się tego dowiedzieć.

# PAPIEROWE SERCA TO MIŁOŚĆ Z KAŻDEJ STRONY!



Wydawnictwo Papierowe Serca powstało z miłości do książek o... miłości – od niewinnej i młodzieńczej po dojrzałą i rozpalającą zmysły. W naszym katalogu znajdziecie wciągające powieści New Adult z ulubionymi motywami, romantyczne historie z elementami fantastyki oraz niegrzeczne książki z nutką pikanterii.



 WYDAWNICTWO PAPIEROWE SERCA  
 WYDAWNICTWOPAPIEROWESERCA  
 PAPIEROWESERCA  
 PAPIEROWE\_SERCA